ANIOŁ STRÓŻ

Gazeta dla dzieci.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 2 CHOJNICE, dnia 24-go grudnia 1925 r. Nr. 48

Spieszmy do stajenki!

Na niebiosa wschodzi cudna
Gwiazda Bet eemu,
Oznajmiając przyjście Pana
Swiatu całemu.

Na niebiosach aniołowie
Dzwonią hymn wesela,
Radość wielka wszystkim ludziom
Dzisiaj się udziela.

Ziemia strojna w biel l'ljową,
W sople lodu wszędy.
„Dziś się Ciałem stało Słowo!"
Śpiewają kolendy.

Dziś do Pana przyjść tak łatwo,
Złożyć prośby, dzięki —
Więc pospieszaj, polska dziatwo,
Do jego stajenki.

Dziś tron Jego — żłobek mały,
Bo on sam malutki!
Dziś weseli się świat cały,
Pierzchły troski... smutki.

Król salin.

Górnicy mają mnóstwo swych legend, fantastycznych powieści, do których są tak przywiązani, tak w nie wier ą, iż niepodobna odebrać im tej wiary, która ich ożywia, czyni pobożniejszymi i nawet samotność im umila.

Oto co opowiadają:

Pewnemu pracującemu żeleźnikowi, to jest takiemu, który wyrębuje sól, zgasł kaganek. Co tu robić? zkąd wziąść ognia? Ponieważ był to człowiek dobry, pokorny, bogobojny i w pomoc Boską wierzący, więc i teraz pomyślał sobie, że go Bóg w ciemności nie zostawi, i potrzebne światło mu zeszle. Westchnął pobożnie i pomodlił się serdecznie, a prośba jego wnet wysłuchaną została.

Ujrzał w dali kogoś nadchodzącego ze światłem w jego właśnie stronę, za pierwszym płomykiem ujrzał drugi, potem, trzeci, czwarty... i tak dalej.. dalej może ze sto świateł zajaśniało. Wyglądało to akby górnicy szli w pochodzie uroczystym.

Górnik zdjął czapkę i przypatrywał się pochodowi. Nikt się nie odzywał; osoby szły, ale w głuchem pogrążone były milczeniu, jakby to były posągi z soli wykute. Wszyscy mieli na sobie czarne stroje górnicze, szedł też i król z mitrą złotą, zdobną w solne kwiaty, okryty przezroczystym płaszczem. Przed królem niesiono chorągiew płomienistą, przymocowaną do oszczepu z kości słoniowej. Pochód był wspaniały, każdy uczestnik niósł złoty kaganek, zawieszony na złotym łańcuszku, a król podpierał się świecącym toporkiem.

Gdy zdumiony górnik przyglądnł się tym niemym postaciom, tej dziwnej świcie królewskiej, wszyscy zatrzymyli się przed nim; król świecącym toporkiem uderzył w ścianę solną, która szeroko się rozwarła i wszyscy po będących za nią schodach zaczęli wtsępować do głębin w takim porządku w jakim się ukazali.

Gdy ostatni z pochodu miał schodzić na dół, górnik zapalił sobie od jego płomyka kaganek, a dobry duch nalał mu nawet oleju do jego lampki ze swego złotego naczynia i nakazywszy milczenie silnem zaciśnięciem dłoni, oddalił się szybko i pomknąwszy za innymi znikł zaraz, otwór w ścianie solnej znikł też bez śladu.

Górnik przez siedem lat świecił sobie tym olejem, a gdy zapomniawszy się, opowiedział żonie o tem widzeniu, zaraz oleju w kaganku zabrakło i światło zgasło.

Kto jedzie?

Jedzie Gwiazdor jedzie
Wśród śnieżnej zamieci.
Pewnie z zabawkami
Dla was drogie dzieci.

Wiatr zadymką miecie,
Gwiżdże mu nad uchem,
Aż się starowina
Przyodział kożuchem.

Saniami po ziemi,
A łodzią przez morze,
Jak chcesz jedź, bylebyś
Przyjechał Gwiazdorze!

Cały rok czekamy
Na twe upominki.
Cały rok czekamy
Zielonej choinki.

Uczony — dzięki wypadkowi.

— Marcinek, dość tego spania, słońce już dawno wstało, wstań i ty, chłopczyku, pognaj trzódkę na paszę, bo jak tatuś wrócą naśniadanie, będzie źle.

Tak namawiała leniwego synka niemłoda krakowianka, krzątająca się po schludnej wiejskiej chacie. Nagle poskoczyła ku śpiochowi, jakby na obronę, bo we drzwiach stanął gospodarz. Stanął, spojrzał i mruknąwszy:

— Co? Ten darmozjad śpi jeszcze! — podniósł w górą biczysko, chcąc nim ściągnąć w powietrzu. Nim zdążył jednak to uczynić, Marcinek, zerwawszy się z łóżka, stał już w odległym kącie izby.

— Słuchaj, Marcin — rzekł ojciec — od dzisiejszego dnia musi być koniec próżniactwu. Ruszaj do trzody, a nie gawroń się, pilnuj, i niech cię Bóg broni, żebyć zgubił jaką sztukę.

Chłopiec w milczeniu ze spuszczoną głową wyszedł z chaty. W progu szepnął mu brat młodszy:

— Pilnuj dzisiaj trzody nie żartem, bo się pono wilczysko pokazało pod lasem.

Marcinek, zostawszy sam, rozejrzał się po świecie, i widać ten wiosenny świat musiał uśmiechnąć się do niego, bo naraz poweselał, palnął z długiego bicza i zaśpiewał:

„Wieje wietrzyk, wieje, jasne słonko świta,
Krakowiaczek ci ja, Marcin Wadowita".

Działo się to w roku 1584 na krańcu małego miasteczka Wadowice, leżącego w pobliżu Krakowa. Dzień był prześliczny, to też Marcinek zapomniawszy zupełnie o niedawnym przestrachu, nucił wesoło:

„Przeleciał ci gołąb nad stojącą wodą
Trzymajże się razem, ty przebrzydła trzodo!
Przeleciał ci chyżo, wody się nie napił,
Dam ci ja, Pstrokaczu, bylem się przycapił".

I naprawdę uderzył biczem Pstrokacza, najniesforniejszego z trzody, który już zginął mu dwa razy.

Po chwili, gdy zwierzęta pasły się już na łączce, Marcinek siadł na wzgórku i jął, po swojemu wyśpiewując, spoglądać więcej w niebo, niż na trzodę.

Tak zapatrzony, ani spostrzegł, jak na bliskim gościńcu ukazała się piękna kolasa. Piasek tłumił stąpania koni, wlokących się noga za nogą.

„Siadła biała chmura na Marjackiej wieży,
A niebieskie niebo na tej chmurze leży".

zaśpiewał nagle Marcinek.

Panowie w kolasie usłyszeli te wyrazy i mimowoli spojrzeli ku Marjackiej wieży, gdzie istotnie obłoki ułożyły się według opisu pastuszka.

On tymczasem znowu się odezwał:

„Uciekajcie ptaki, uciekajcie żywo,
Bo się jastrząb zbójnik waży ponad niwą",

Dwaj panowie podnieśli oczy w górę i ujrzeli jastrzębia wiszącego w powietrzu,

Uważasz waszmość, panie Sebastjanie, ten chłopak wyśpiewuje to, co widzi — rzekł starszy.

— Ha odparł młodszy — dopiero co zabrał Pan Bóg do siebie poetę naszego dzielnego Jana z Czarnolesia, to może drugiego w tym mizernym pastuszku gotuje.

„Oj, nie mam ja strzały posłać zbójnikowi,
Już po tobie, ptaszę! już cię zbójnik złowi".

zaśpiewał Marcinek żałośliwym głosem.

— Pójdźmy pogadać z tym malcem — rzekł pan Sebastjan i, wyszedłszy z kolasy, obaj mężowie zbliżyli się ku pastuchowi.

— Chłopcze, kto cię tak śpiewać nauczył? — zagadnął pan Sebastjan.

Ale Marcinek odwrócił tylko głowę, otworzył usta z podziwu i ani słowa nie odpowiedział.

— Słuchaj, nie masz ty ochoty uczyć się na księżce? — pytał pan dalej.

Chłopiec wciąż milczał, spuszczając coraz niżej głowę.

— Jakbyś się uczył, mógł byś zostać księdzem.

— I kazania gadać — krzyknął na te słowa Marcinek, zrywając się z gwałtownym rumieńcem i promieniejącemi oczyma.

— Tak, tak... kazania prawić! Ale naprzód trzeba się uczyć, jeżeli chcesz tego, jedź z nami do Krakowa.

— E... A któżby tu ojcu trzodę pasał? — mruknął chłopiec po namyśle.

— A to ją paś całe życie, próżniaku — zawołał pan surowo.

— Ale jeżelibyś kiedy nauki zapragnął, przyjdź do Krakowa i pytaj o pana Sebastjana — dodał drugi. Kolasa oddaliła się, Marcinek patrzył za nią długo, potem przeniósł oczy na Marjackie wieże i znowu dumał, jak wprzódy.

Nagle rozlekł się ryk i bek przeraźliwy. Chłopak spojrzał i także krzyknął. Ogromny wilk wlókł ku lasowi niesfornego Pstrokacza, trzódka zaś przerażona pierzchła w różne strony.

Surowy ojciec stanął, jak żywy przed oczyma chłopca i wątły Marcinek rzucił się w pogoń za wilkiem.

Ale las był duży. Gdy, nabiegawszy się naprożno, biedny pastuszek wrócił zmęczony na łąkę, nie zastał tam ani śladu rozbiegłej swej trzódki. Zrozpaczony, chwycił się za skronie, a oczy jego, zachodzące łzami, padły wypadkiem na wieżę Marjackiego kościoła...

Wówczas Kraków, pan Sebastjan, jego słowa, wyrzeczone przed chwilą, wszystko przyszło mu na pamięć, i Marcinek ze strachu przed gniewem ojca i karą, nigdy jeszcze nieoświadczoną, a więc tem straszniejszą, bez namysłu puścił się pędem, ile mu jeszcze sił starczyło do Krakowa.

Minęło lat kilkanaście. Marcinek wyrósł na Marcina, zwanego Wadowitą, i zasłynął w akademji krakowskiej jako uczony.

Nakoniec został proboszczem w kościele św. Florjana na Kleparzu. Dla cnót swych, nauki i wesołego humoru był w całym Krakowie znany i lubiany.

Spełniły się pragnienia jego dzieciństwa, bo zostawszy księdzem, miewał doskonałe kazania. Poetą nie był, ale umiał mówić i odpowiadać wierszem, gdy go pytano.

Pewnego razu w licznem towarzystwie, gdy Wadowicie, ubranemu w strój akademji, to jest w szatę aksamitną, ofiarowano pierwsze miejsce, uśmiechnął się i zwracając się niby do swej szaty, zażartował:

Dzięki, panie aksamicie,
Dla ciebie cześć Wadowicie.

Pochodzenia swego nie wstydził się, ani go ukrywał. Przeciwnie, jeżeli chwalono jego wielką wiedzę, mówił, często przypominając zdarzenie z lat dziecięcych:

— Gdyby nie wypadek, nie byłby Wadowita uczonym.

Umarł w roku 1644, kochany i żałowany przez wszystkich.